

Stefan Grabiński



Cień Bafometa

STEFAN GRABIŃSKI

CIEŃ BAFOMETA

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok  
Konin 2018

Stefan Grabiński  
„Cień Bafometa”

Copyright © by Antoni Stefański, 1926  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania  
lub edytowania tego dokumentu, pliku  
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ  
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy  
Projekt okładki: Adam Brychcy  
Druk: Drukarnia Zakładu Nar. im. Ossolińskich  
Wydawnictwo: Księgarnia Zakładu Nar. im. Ossolińskich  
Lwów – Warszawa – Kraków, 1926

ISBN: 978-83-8119-339-9

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.  
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

## GROM.

Pomian był gotów. Powstał od biurka, rozprostował przygarbione całonocnym ślęceniem plecy i uśmiechnął się. Był gotów. Przed nim piętrzył się stos świeżo zapisanych kartek — ostatnie już może akordy twórczości i życia. Dzieło ukończone. Z miłością oparł dłoń na rękopisach. Myśli, zrodzone tej nocy, zaklęte w twórcze słowo chwili wyjątkowej zdawały się tętnić jeszcze krwią narodzin, jakgdyby nie skrzepłe jeszcze w martwy kształt litery...

Po lewej stronie stołu pod przyciskiem testament spisany pewną, spokojną ręką człowieka, który dobrowolnie ustępuje z areny życia dla powodów ważnych.... Przeglądnął pismo raz jeszcze. Wszystko było w porządku: podpis, pieczęć notarialna, nazwiska świadków...

Na środku biurka, na teczce parę listów: do brata, krewnych w Krakowie i do matki. Ten ostatni przebiegł ponownie oczyma i zamyślił się... Najdroższa na świecie, najświętsza istota! Biedna, czy przeżyje cios, który jej gotuje?...

Uczuł, jak wzruszenie ściska go za gardło. Łzy, niewczesne łzy męskie zabłądziły pod powieki.

— Matko najlepsza, nie mogłem inaczej!...

Pośpiesznie włożył list do koperty i zalepił. Wszystkie najważniejsze czynności były załatwione; nic już nie stało na przeszkodzie do spełnienia czynu, który nakazywało sumienie. Przed nim ścieliła się droga prosta i jasna jak królewski gościniec. Czas mu już było nań wstąpić... Spojrzał na zegarek. Była 11 rano. Pozostawała do dyspozycji jeszcze tylko jedna

godzina. — Przebrał się, wypił filiżankę czekolady i zapaliwszy papierosa, wyszedł. Było wtedy kwadrans na dwunastą w południe. Do „Lasku Cygańskiego”, wyznaczonego na miejsce spotkania szło się dobrej pół godziny; postanowił drogę tę odbyć pieszo. — Ruch odświeżył go i orzeźwił. Szedł krokiem szybkim, sprężystym, rzucając wkoło spojrzenia bystre, niemal wesołe.

Ostatecznie dobrze się stało, że sprawa wzięła taki obrót. Najcięższym był moment wahania się, decyzji — dziś, gdy stał już przed rozstrzygnięciem, doznawał uczucia wielkiej ulgi; jakgdyby kamień przytłaczający go od lat wielu usunął mu się z piersi. Mógł być dumnym z siebie; nie chodziło tu przecież o zwykłą, pospolitą awanturę „honorową” lub o likwidację osobistego zatargu. Pomian spełniał „misję” i poświęcał dla niej może własne życie...

Albo on, albo Pradera — trzeciej ewentualności nie było. Śmierci się nie bał, bo w nią nie wierzył; byt pozagrobowy był dlań czemś tak pewnym i naturalnym, jak następstwo dnia po nocy...

Zwolnił kroku. Z ławki na skwerze podeszła ku niemu kwieciarka z oczyma zalęknionej sarny.

— Róże, orchidee! — zachwalała nieśmiało swój towar. — Dziś rano cięte.

Wybrał róże: dwa purpurowe, bujnie rozwite pęcze; jeden zatknął we własną butonierkę, drugi przypiął jej do stanika. Zapłonila się cudownie jak kwiat u jej piersi.

— Dziękuję panu.

— Żegnaj, piękna dziewczyno!

Przeszedł skwer i zanurzył się w podwójną pierzeję domów sąsiedniej ulicy. W perspektywie zamajaczył szwadron kawalerji: proporce, spisy, rytmiczny ruch kopyt. Po chwili włączył się motyw muzyczny kapeli. I tłum — uliczna gawiedź... Szło to wszystko stamtąd, z góry — szło na niego. Macki ludzkiej lawiny dosięgły go i wessały w swe sploty. Wessały, lecz nie pochłonęły — zatrzymał siebie całym; przeprował sobą zachłanny gąszcz i darł się w górę, ku Podwalu. Nagle uderzyła w oczy biała plama; ponad zgietk szczegółów wybił się na czoło ten jeden motyw, wyodrębnił i skupił na sobie uwagę. Śmieszny, banalny motyw! Czyjaś biała, pikowa kamizelka! Che, che, che! Nie do uwierzenia!...

Może dlatego, że ten człowiek zdjął przed nim kapelusz? Co to za jeden? Kim był ten długi elegant? Momentalne spotkanie się dwóch par oczu nie powiedziało nic; indywiduum zupełnie obce. — Dlaczego więc pozdrowił? Niewiadomo. He, he, he! Może zauważył, że tak uporczywie spoglądam na jego kamizelkę? Może spostrzegł zachwyty mój i uznanie dla jego białej, pikowej kamizelki? I zrewanżował się ukłonem. He, he, he!... Jak to łatwo na świecie uszczęśliwić ludzi...

Fala przepłynęła, muzyka wsiąkła gdzieś w zakręty ulic i bloki kamienic. Pomian obrócił się i spojrzął przed siebie. Miasto leżało za nim zwinięte w jeden wielki, zwarty kłęb niby panorama wciśnięta w pięść olbrzyma. Parę kominów fabrycznych dymiło spokojnie. Na północy srzeżoga mgieł wiązała stoki cytadeli z rzeką...

Minął roгатkę. „Pod papugą” poznał auto Danielskiego. Czekali na niego. Podszedł Czorsztyński z wyciągniętą ręką. Oczy druha badawcze, śledcze doszukiwały się czegoś w jego

twarzy.

— Jak się czujesz, Tadzik?

Pomian wyczuł w głosie drżenie niepewności.

— Wybornie! Jak nigdy jeszcze w życiu. Dziękuję wam, drodzy moi, za punktualność. Jedziemy?

— Natychmiast. Pozostaje tylko 10 minut.

Wsiedli. Pojazd ruszył, otaczając się w jednej chwili aureolą pyłu. Pomian, zauważywszy, że Danielski studjuje go ukradkiem z boku, uderzył go lekko dłonią po kolanie.

— Lolku, wyglądasz dzisiaj trochę nieswojo. Czy znów po scenie z Idą?

Przyjaciel uśmiechnął się przekonany.

— Brawo, Tadzik! Jedziesz jak na wesele.

Nad głowami jadących zaszumiały spławy pierwszych dębów; wjeżdżali w Cygański Lasek. Czorsztyński podniósł się z siedzenia i stojąc, obserwował coś wdali przez lornetkę.

— Zdaje mi się, tamtych dotąd jeszcze niema — rzekł po chwili z uczuciem ulgi.

— To dobrze — odparł zadowolony również Danielski. — Poczekamy. Wolę, żeśmy pierwsi.

Automobil zatoczył szerokie koło, przeciął wąską, leśną drożynę i wjechał na zamkniętą pierścieniem drzew polanę... Wsiedli. Było 5 minut przed dwunastą.

Lekarz wy dobył z walizy taburet polowy, rozstawił na nóżkach i zaczął rozkładać na nim chirurgiczne przyrządy. Ostrze jakiegoś lancetu badane pod światło nie podobało mu się; odkorkował więc butelkę z sublimatem, przytknął do szyjki kosm waty i napoiwszy płynem, otarł brzeszczot podejrzanego



narzędzia. Ruchy jego flegmatyczne, jakby odmierzone na minuty, sekundy rozdrażniły Czorsztyńskiego.

— Że też musieliście się rozkładać z waszym kramem właśnie tutaj, prawie na środku polany — zauważył kwaśno, wskazując mu dyskretnie oczyma obróconego w tej chwili Pomiana.

— Ależ Julku, zostawże kochanego doktora w spokoju! Miejsca będzie dość.

Tymczasem Danielski badał teren. Łączka, pokryta krótką, jedwabistą trawką, wśród której błąkały się tu i owdzie turkusowe niezapominajki, ścieliła się pod nogami jak kobierzec.

— Równo i gładko jak na stole — stwierdził, zwracając się do Czorsztyńskiego. — Więc na 30 kroków, co?

— Tak. Lecz pozostaw to mnie; sam odmierzę. — Tamten uśmiechnął się.

— Naturalnie; masz dłuższe nogi — odpowiedział półgłosem.

Od wieży ratuszowej nadpłynęła szeroka, spiżowa fala wydźwięku. Biła dwunasta w południe.

— Pan przeciwnik spaźnia się. Czy długo będziemy czekali? — zapytał zniecierpliwiony Danielski.

— Musiała zajść w ostatniej chwili poważna przeszkoda — wytłumaczył Pomian, zapalając cygaro. — Możemy poczekać choćby z godzinę.

— Za pozwoleniem! — sprzeciwili się jednomyślnie przyjaciele. — Za pozwoleniem, mój kochany! Jeżeli nie zjawi się do godziny wpół do pierwszej, spisujemy protokół. Taka była umowa; wiedzą o tem doskonale.

— Jak chcecie — odpowiedział obojętnie, goniąc wzrokiem

spirale błękitnego dymu.

Czorsztyński wydobyl z puzdra parę pistoletów i podał do oglądnięcia towarzyszowi.

— Wszystko w porządku — skonstatował po chwili Danielski.  
— Po 6 naboii w magazynach; wystarczy...

Przerwał mu nerwowy odzew trąbki automobilowej.

— Nareszcie! — odetchnął z ulgą Pomian, odrzucając cygaro.

Z wnętrza pojazdu wyłoniły się czarne, smukłe postacie dwóch mężczyzn. Pomian zaniepokoił się; bystre, sokole jego oczy nie dostrzegły przeciwnika.

— A gdzie Pradera? — zapytał półgłosem.

Tymczasem sekundanci wymienili chłodny, ceremonjalny ukłon. Na twarzach obu przybyłych znać było silne wzruszenie.

— Coś zaszło — pomyślał Pomian, podchodząc ku nim szybko.

— Panowie! — rzekł zmienionym jakimś głosem jeden ze świadków Pradery. — Musicie wybaczyć spóźnienie... Zaszła przeszkoda... Kazimierz Pradera nie żyje...

— To niemożliwe! — krzyknął Pomian, wysuwając się naprzód.

— Niestety — to smutna prawda. Minister, Kazimierz Pradera niespełna pół godziny temu zginął śmiercią gwałtowną, zamordowany ręką nieznanego złooczyńcy. Panowie! Bez względu na stosunek wasz do niego, uczcijcie pamięć niezwykłego człowieka!

Pomian blady jak płótno zdjął machinalnie kapelusz; inni poszli za jego przykładem. Zapanowało długie, przygnębiające milczenie. Po chwili grupka złożona z sześciu mężczyzn ruszyła

powolnym, ociężałym krokiem ku czekającym pojazdom. Po drodze Pomian kilkakrotnie zatrzymywał się; wzrok jego błędny, jakby zdziwiony czepiał się konturów drzew, wałęsał bezradnie po krzewach, tężał nieruchomo w przestrzeni. Napół przytomnego wsadzono do auta.

Gdy minęli roгатkę i wjeżdżali na Senatorską, wyważyły go z odrętwienia głosy kamlotów:

- Minister Pradera zamordowany!
- Skrytobójcze morderstwo! Ofiarą minister Pradera!
- Straszliwa śmierć ministra Pradery!...
- Dodatek nadzwyczajny „Kurjera“!... Kupujcie! Kupujcie!
- Telegram poranny „Przeglądu“! Tragiczny zgon ministra!
- Pradera nie żyje!
- Pradera ofiarą mafji politycznej! Telegram! Telegram!
- Zamach skrytobójczy na ministra!...

---

## WIZYTA W PAŁACYKU PRZY UL. JASNEJ.

Antagonizm Pomiana i Pradery miał swoje dzieje. Był „organiczny”, zasadniczy — sięgał korzeniami spraw podstawowych, które wychodziły poza obręb osobistego stosunku dwóch wybitnych ludzi; konflikt ten jedyny w swoim rodzaju przekraczał granice prywatnego zatargu i wchodził na teren interesów ogółu: należał do kompleksu spraw publicznych, obchodził wszystkich, dotyczył każdej uświadomionej jednostki.

Dlatego cień, który padł na galerje pałacyku przy ul. Jasnej, zdawał się wydłużać czarne swe zasięgi daleko poza rubieże

zaczynającej siedziby ministra, zarzucając krepę ponurych zagadek na szlaki życia społecznego. Instyktownie odczuto, że zaszedł wypadek brzemienny w następstwie, że „sprawa Pradery” była epilogiem walki toczącej się o pewne wartości nie od dziś i nie od wczoraj, finałem zmagania się o pewne zasady, tragicznym rozstrzygnięciem sporu, którego motywy powtarzają się perjodycznie poprzez wieki istnienia ludzkiego na ziemi. Odczuto — ale nie uświadomiono sobie w pełni. Do tego niestety społeczeństwo wtedy jeszcze nie dojrzało. Przeglądało coś z powodzi dziennikarskich artykułów, świtało w zgiełku broszur ad hoc, „objaśniających i analizujących” tajemniczą aferę z ul. Jasnej — ale nikt nie zdobył się na głębokie i zdecydowane postawienie problemu; jak zwykle u nas, same półsłówka, nieśmiałość, co krok cofające się za szaniec codzienności domysły, banalizujące fakt, płytkie i trywjalne przypuszczenia.

— Panowie! — ostrzegął trzeźwy głos w jednej z gazet. — Panowie! Tylko nie wprowadzajmy w sferę pospolitej zbrodni żywiołów metafizycznych! Wszystko, tylko nie to! Bo przepadliśmy z kretelem!

Ostrzeżenie odniosło zbawienny skutek. Odtąd sprawę trzymano w ścisłych szrankach „rzeczywistości praktycznej”. Sfora wyżłów policyjnych węszyła po staremu za tropem mordercy, a sędziowie śledczy, wierni „wypróbowanej przez lata doświadczenia metodzie”, wysilali swe mózgownice na wściekle pomysłowe indagacje świadków.

Rezultat był żaden. Po miesiącu dochodzeń śledztwo stanęło na martwym punkcie. Sprawa utknęła w jakimś ciasnym zaułku, z którego nie było wyjścia ani w prawo, ani w lewo. Wypadało

chyba zatrzeć do odwrotu. Lecz na to zabrakło już odwagi i... szczerości względem siebie samych...

Jeden Pomian zrozumiał od początku istotę tego, co się stało. Po pierwszych dniach oszołomienia, wywołanego nagłością faktu opamiętał się i zaczął analizować. Powoli skutki udaru, który przyszedł z nienacka w chwili najmniej spodziewanej, ustąpiły na plan dalszy, a pojawiło się ogromne, wmyślające się coraz głębiej w sprawę zdumienie. Zbieg dziwny okoliczności, owa szczególna równoczesność zgonu i niedoszętego pojedynku nie wydały się rzeczą przypadku. Dopatrywał się w nich tajemnych znaczeń. To, co zaszło dnia 22 września, wskazywało na słuszność zamiarów, z którymi nosił się już oddawna. „Los” przyznał mu rację i uprzedził cios, jaki chciał zadać Praderze. Mordercza ręka, która zatopiła nóż w sercu ministra, była tylko ślepym narzędziem. Zginął, bo zginąć musiał, bo zginąć był powinien. Pomian pragnął wprawdzie, by walka była równa i szanse jednakowe, lecz przeznaczenie postanowiło inaczej: „wyręczył” go ktoś inny. Dlaczego ktoś inny i dlaczego „wyręczył”?

Może dlatego, by cios był pewniejszy i nieuchronny — może też dlatego, by oszczędzić jego, Pomiana i zabezpieczyć przed ewentualnymi skutkami spotkania. Widocznie sądzonemu było pozostać przy życiu i dokończyć rozpoczętego dzieła. „Zachowano” go dla „idei”. Tragiczny zgon przeciwnika stał się dlań sprawdzianem słuszności sprawy, w imię której wydał mu walkę na śmierć i życie. Pomian wyczuł nagle jakby rozpiętą wkoło siebie atmosferę metafizycznej życzliwości, która zdawała się czuwać nad jego krokami i chronić go przed „złą przygodą”. Więc poddał się niewidzialnej opiece z cichą radością dziecka,

lecz bez cienia dumy. Bo wiedział, że jest to stan chwilowy, który potrwa tylko tak długo, dopóki będzie to wskazaniem i potrzebnem...

Z Praderą znali się oddawna, jeszcze od szkolnej ławy. Już wtedy, niemal od pierwszego spotkania na terenie „klasowym” zrozumieli, że stoją na wprost przeciwnych krańcach. Kontrast charakterów i umysłowości już wtedy występował wyraźnie, niekiedy jaskrawo. Nawet fizycznie stanowili rażące a znamienne przeciwieństwa. Pradera, tęgi, rosły i barczysty, był szampjonem szkolnym, uwielbianym przez kolegów, którzy patrzyli nań jak na młodego półboga. Natomiast Pomian, wzrostu średniego, wąły, o słabo rozwiniętej klatce piersiowej uchodził zawsze za cherlaka i pięknego niedołęgę.

Obaj należeli do t. zw. lucyferów klasowych, lubo wprost odmiennego typu. Umysłowość Pradery jasna, pogodna i trzeźwa ujmowała wiedzę z praktycznego punktu widzenia. Zdolności posiadał olbrzymie, pamięć fenomenalną; zwłaszcza celował w matematyce i przyrodzie.

Pomian był marzycielem. Zjawiska życiowe, przepuszczone przez alembik jego duszy i serca, wychodziły powleczone mgłą tajemniczości i niedomówień. Patrzył na świat rozszerzonymi od zdumienia oczyma wiecznego dziecka. Jakiś wielki, cichy smutek pokutował w błękitnych, trochę sennych jego oczach. Był namiętnie pobożny. Wychowany pod czułym okiem matki, kobiety niezwyklej, pełnej polotu i głęboko uczuciowej, odziedziczył po niej skłonność do mistycznego na świat poglądu. Dlatego nie był lubiany. Koledzy stronili od „świętego Pomiana”, pomawiając go o obłudę religijną. I on trzymał się zdaleka. Raził go cynizm rozhukanych rówieśników, którzy uważali sobie za

punkt honoru kpić z katechety — „katabasa” i głosić modne w tym czasie hasła, wysnute pośpiesznie z darwinowskiej teorii. Ten chłopak nad wiek dojrzały i przewrażliwiony jak mimoza czuł instynktowną odrazę do parwenjuszowskiego opluwania rzeczy świętych i tajemniczych.

Pod koniec studjum średniego i on „wyzwolił się” z ciasnych formułek dogmatyzmu kościelnego, lecz mimo wszystko nie przestał być naturą nawskroś religijną. Dawna pobożność, chwilami może nawet dewocja przerodziła się w silny, z rokiem każdym pogłębiający się mistycyzm.

Gdy po ośmiu latach nauki gimnazjalnej otworzyła się przed nim i Praderą wolna i swobodna droga do badań i pracy samodzielnej, antagonizm ich przybrał odrazu charakter zdecydowany: półświadomiona niechęć lat ubiegłych skryształizowała się we formę nieubłaganej, żywiołowej nienawiści. Odtąd mieli pójść w kierunkach diametralnie przeciwnych. A że obaj mimo różnicy usposobień należeli do natur aktywnych i lubieli wpływać na innych i wciągać jak największą ilość ludzi w kręgi swych idei i haseł, przeto konflikt był nieunikniony.

Zaczął się na tle ich dysertacyj doktorskich. Przeciwnicy z umysłu wybrali za temat to samo zagadnienie filozoficzne, które rozwiązyali w duchu krańcowo odmiennym. Zwyciężyła teza Pradery. Jego pogląd na „teorię stanów podświadomych”, wyłożony w sposób trzeźwy i ostrożny, nie wybiegający intuicją poza bezpieczne rubieże tego, co daje eksperyment i zdrowy, chłopski rozum, bardziej przemówił do przekonania profesorów, niż „mgliste i ryzykowne kalkulacje” marzyciela, „tkniętego nalotami chorobliwej mistyki”.

To rozstrzygnęło o losie Pomiana. Rozgoryczony niepowodzeniem, porzucił raz na zawsze „karjerę naukową”, by odnaleźć się w dziedzinie sztuki. Po trzech latach wewnętrznych zmaganiach, wątpliwości i rozterki wykwitł w ciągu kilku szalonych, twórczych nocy egzotyczny kwiat jego poezji. Pomian stanął odrazu na wyżynach. Czar, wiejący z jego utworów dziwnych i jak obłąd zawrotnych, rzucił mu odrazu pod stopy publiczność i krytykę. Ten młody, dwudziestokilkuletni człowiek stworzył własną szkołę, pozyskał uczniów i naśladowców. Lecz miał i zaciętych wrogów. Bo też nie mogło być inaczej. Jego mocna i żywiołowo oryginalna indywidualność stawiała ludzi wobec nieuchronnej alternatywy: albo należało poddać mu się bez zastrzeżeń lub też bez zastrzeżeń odrzucić. Namiętny rytm jego sztuki zniewalał do bezwzględnego uwielbienia lub do gwałtownego protestu.

Jakoż po szeregu ocen pochwalnych, nawet entuzjastycznych, nadpłynęła zjadliwa fala krytyki.

Na czoło opozycji wysunął się wtedy po raz pierwszy Kazimierz Pradera. Lubo niepowołany, raczej uczonek niż literat, „chwycił za pióro z powodów zasadniczych” i rozpoczął po dziennikach kampanję przeciw rywalowi. Strony artystycznej utworów „dyskretnie” nie poruszał, pozostawiając tę sprawę „zawodowcom” — natomiast wystąpił brutalnie przeciw ideologii. Ta zdaniem jego była zgubną dla społeczeństwa, gdyż prowadziła na manowce.

— Pomian — pisał w jednym z tych artykułów, zaprawnych żółcią i pewnością siebie — usiłuje narzucić nam swój światopogląd w sposób wyjątkowo sugestywny, stwarzając fikcje silne jak narkoza i stąd niebezpieczne. Wpływ tego



niewątpliwie zdolnego pisarza może zdaniem mojem wywołać fatalne skutki. Twórczość Pomiana chorobliwa i dziwaczna może łatwo sprowadzić społeczeństwo nasze na bezdroża rozkiełzanej fantazji i utopijnej mistyki. Dlatego uważam sobie za święty obowiązek wykazać na tem miejscu bezpodstawność jej założeń, które są zgoła fałszywe, lubo drapują się w togę uczoności i wiedzy. Panowie! To tylko poza i pozór, poza którymi kryją się histeryczne odruchy niezrównoważonej myśli wyobraźni. Nam potrzeba literatury zdrowej, zdrowej i jeszcze raz zdrowej!...

Rzuconą sobie rękawicę podjął Pomian i odpowiedział — nowemi dziełami sztuki. Tak rozpętała się walka zażarta, która miała trwać lata całe: wspaniały, jedyny w swoim rodzaju pojedynek między uczonym i artystą.

Pomian walczył o światopogląd nie dla zaspokojenia ambicji lub zdobycia małodusznej satysfakcji, jaką daje przeforsowanie własnej ideologii — chodziło mu o ogół, o podniesienie go na wyżyny myśli, o „zwrócenie oczu tych Ateńczyków na niebo” i zagadnienia najwyższe. Talent swój niezwykły i wyjątkowy postanowił spalić jak ofiarne kadzidło na ołtarzu Nienazwanego. Widział, jak społeczeństwo zahypnotyzowane żądzą życia i użycia, oczarowane kultem marnych haseł brnie w beznadziejnem bagnie materjalizmu — widział, jak lot jego z dniem każdym obniża się fatalnie ku przyziemnym wądołom, jak panoszy się wszechwładnie opasły sybarytyzm, jak robi sobie miejsce pięstkami duchowe chamstwo i arriwizm. Więc podjął walkę w imię Ducha i jego nieśmiertelności, w imię ideałów, które wiążą tę i tamtą stronę — zapragnął z całej siły i mocy serdecznej wywołać w ludziach wielkie ocknienie,

choćby przyszło im ujrzeć przebłyski Prawdy w zeszkłonych trwogą oczach obłąkańców lub pochylonym nad czeluścią otchłani odczytywać straszliwe jej runy wśród dreszczów grozy... Twórczość jego powinna być stać się dla nich drugą przepaścią w Czufut-Kale, poprzez którą jak przez szczelinę świata w momentalnym ducha spięciu mieli spojrzeć na tajemnicze błonia tamtego brzegu...

Wszystko wskazywało na to, że zwycięży. Potężna ekspresja jego utworów niewoliła ku sobie opornych, fascynowała chwiejnych, elektryzowała obojętnych. Z radością twórcy widział, jak pod jego wpływem powstawały w społeczeństwie nieznane dotąd wiry, które zataczając coraz dalsze kręgi, chłonęły w siebie jednostki i grupy. Pomian był na ustach wszystkich. Dzieła jego komentowane wszechstronnie, roztrząsane z pasją, nieraz z pedanterją docierały niemal wszędzie, budząc zainteresowanie, otwierając nowe perspektywy i rozdale. Jakiś świeży, ożywczy prąd zaczął krążyć dzięki nim wśród ludzi, podniosły się zbrózdzone troską dnia powszedniego czoła, rozbłysły nadzieją zaświatów umęczone oczy...

Lecz i Pradera nie próżnował. I on zdołał skupić dokoła siebie rzeszę zwolenników, którzy z fanatyzmem gotowi byli poprzeć go w poczynaniach. Zdobywszy katedrę filozofji ścisłej, zaczął z niej ciskać gromy potępienia na obóz przeciwnika. Wykłady jego jasne, a lapidarne, przygotowane starannie i metodycznie, mogły czasami stać się bronią zabójczą, tem bardziej że i on władał językiem mocnym i giętkim jak stal damasceńska. Z żelazną konsekwencją wypleniał profesor w duszach słuchaczy wszelki choćby najwątleszy „chwast mistycyzmu”, wypłaszał

„narowy transcendentalizmu”, „rozsnuwał na nici” szarej, zimnej „rzeczywistości” błękitne tkaniny marzeń i metafizycznych tęsknot...

Gdy po kilku latach pracy zdobył wpływ znaczny, postanowił rozszerzyć pole działania na sferę polityki i zaczął ubiegać się o mandat. Szczęście mu sprzyjało: został posłem. Wkrótce rozbrzmiały jego nazwiskiem sprawozdania z posiedzeń sejmu; przemówienia jego energiczne, nacechowane logiką chłodną a mocną, zwróciły na siebie powszechną uwagę. Niebawem ześrodkował dokoła swej osoby klub „Przyjaciół Państwa”, którzy z nieubłaganym uporem torowali mu drogę naprzebój. Gdy w pół roku potem przyszło do przełomu politycznego i część gabinetu podała się do dymisji, Pradera otrzymał tekę ministra.

Oparty silnie o swoje stronnictwo, którego przedstawiciele weszli dzięki niemu w skład nowego rządu i utworzyli większość parlamentarną, rozpoczął akcję zakrojoną na szeroką skalę. Kierunek, jaki nadał polityce, odpowiadał idealnie zasadom filozoficznym, głoszonym lat temu parę wstecz z katedry. Pradera - mąż stanu był praktyczną realizacją Pradery - filozofa. Kurs, wprowadzony przez ministra w sferę polityki stał się wcieleniem tych myśli i poglądów, które niedawno temu roztaczał przed zasłuchanymi w rytm jego słów uczniami.

Rząd Pradery przystąpił do działania w imię hasła „ekspansji nazewnątrz i wzmocnienia tętnic życia gospodarczego nawewnątrz”.

Program pracy, naszkicowany przez nowego ministra w jego pierwszym, świetnie zredagowanym exposé, olśnił i zachwyił szerokie masy społeczeństwa. Widziano w niem same blaski i atuty — cieni nie zauważył nikt lub prawie nikt. Prasa zgodnym

chórem śpiewała pochwalne peany na cześć genialnego męża stanu, chyliły się w kornym uznaniu nawet krnąbrne łby wczorajszej opozycji. Mówiono z entuzjazmem o „wzmożonym tętnie życia narodowego”, o „przyptywie energii plemiennej”, o „cudownym rozroście i zmężnieniu organizmu państwowego”. Minister święcił zwycięstwo na całej linii.

Pomian obserwował i milczał. Tryumfu przeciwnika nie odczuł jako własnej klęski. Przeciwnie. W pierwszych miesiącach „nowego systemu” i on jakby uległ zbiorowej sugestji i jakby zawahał się. Przyszła myśl, że może na ideologję jego jeszcze za wcześnie, że może należy z nią jeszcze „począkać”, póki naród nie zdobędzie silnych podstaw materialnego dobrobytu. Wprawdzie przekorny głos wewnętrzny przypominał mu zasadnicze prawo ewolucji, że wszystko z ducha jest i dla ducha, a nie dla ziemskich celów, że wszelka moc i potęga, nie oparta o zrąb duchowej podwali, kruchą jest i nietrwałą — mimo to gwałtem tłumił jego podszepty, zatykając uszy przed „niewczesnym natrętem”. Dlatego umilkł i czekał na wyniki.

Nie czekał długo. Po kilku latach działalności Pradery zarysowały się na gmachu wzniesionym przezeń pośpiesznie podrzutem dzikiej, nieustraszonej energii pierwsze pęknięcia i przepukliny. Wykluczenie idealizmu i wiary w wyższy, metafizyczny rodowód człowieka zaczęło mścić się straszliwie. System Pradery, ten stalowy system, który chętnie porównywano z monolitem, wykutym z jednego granitowego bloku, zaczął chwiać się. Na horyzoncie polityki zagranicznej pojawiły się ciężkie, ołowiane chmury, grożące lada dzień rozpętaniami piorunowej burzy, wewnątrz kraju rozszalała orgja praktycznego materializmu i brutalnej zmysłowości.

Jednostronność systemu wystąpiła w groźnych konturach...

Pradera mimo wszystko utrzymywał się przy władzy. Dorwawszy się naczelnego stanowiska dzięki schlebaniu najniższym, bo zmysłowym namiętnościom tłumu, trzymał się teraz kurczowo steru, który wymykał mu się z dłoni. Gdy podniosła głowę zamilkła już od dłuższego czasu opozycja, zarządził ostre środki prewencyjne i zapowiadał dyktaturę. Kto wie, może marzył o zamachu stanu? Może w snach ambitnych przywidziała mu się już królewska korona?...

Tymczasem położenie pogorszało się z miesiąca na miesiąc. Upór i fanatyzm Pradery podżęgały tylko wrogi nastrój wśród sąsiadów i zniechęciły sojuszników; państwu groziło fatalne odosobnienie. Wtedy po raz pierwszy zrodził się w duszy Pomiana zamiar usunięcia go. Teraz widział w nim już nie znieawidzonego przeciwnika, lecz jednostkę szkodliwą dla dobra ogółu, osobnika niebezpiecznego dla całości państwa, którego należało pozbyć się za wszelką cenę. Chodziło tylko o sposób. Droga legalna była dlań bezwarunkowo zamknięta: mimo wszystko minister był wciąż jeszcze zbyt potężny, by go można było obalić. — Pozostawał zamach lub zabójstwo jako następstwo osobistego zatargu. Ponieważ do pierwszego nie był zdolny, wybrał pojedynek. Środek ten wydał mu się jedynym uczciwym wyjściem z sytuacji: powierzając wynik walki losowi i narażając własne życie, szedł Pomian ku straszliwej realizacji z wysoko podniesionem czołem.

Pozostawała strona techniczna, związana z wykonaniem zamiaru. — Tutaj już nie napotkał na duże trudności. Ponieważ Pradera zaczepiony w swym charakterze politycznym jako mąż stanu prawdopodobnie nie byłby reagował, zbywając nawet

obelgę milczeniem lub mszcząc się przez pociągnięcie przeciwnika do odpowiedzialności prawnopaństwowej, postanowił zainscenizować zatarg na terenie życia towarzyskiego.

Sposobność nadarzyła się niebawem. Zawdzięczał ją Pomian swym dość szeroko rozgałęzionym znajomościom w świecie literackim i naukowym. Wiedząc o tem, że minister bierze gorliwy udział w przyjęciach piątkowych, urządzanych przez gościnny dom Rudzkich, postarał się o zaproszenie na dzień 20 września.

W czasie konwersacji na temat zagadnień literackoartystycznych przyszło pomiędzy obu przeciwnikami do ostrej wymiany zdań; padło parę słów silnych, niedwuznacznych, Pomian posunął się nawet do otwartej obelgi. Pojedynek stał się nieunikniony.

W parę godzin potem ustalono warunki: były ciężkie, wykluczające niemal dla obu możliwość wyjścia z afery bez szwanku. Spotkanie miało nastąpić dnia 22 września w południe. Tegoż dnia koło godz. 11½ rano zginął Pradera ugodzony śmiertelnie przez nieznanego złoczyńcę. Los uprzedził i wyręczył Pomiana...

Tak przynajmniej wyglądało. Bo w przypadek nie wierzył. Widocznie istniała jakaś siła tajemnicza, jakaś tkwiąca w organizmie świata jaźń — inteligencja, czuwająca nad tem, by nie przekraczano pewnych granic; z chwilą, gdy opętany wyłączną myślą człowiek zapuścił się zbyt daleko w jakąś stronę, grożąc wywróceniem równowagi, siła ta wkraczała jako pośrednik sprawiedliwy lecz i nieubłagany. Tej interwencji zawdzięczał Pomian życie. Dziwiło go tylko, że nikt tego

dotychczas nie zauważył. A przecież pobieżny choćby rzut oka na szczegóły tragedji przy ul. Jasnej musiał nasuwać podobne refleksje. Od paru miesięcy śledził Pomian z wyteżoną uwagą przebieg afery, wczytując się całemi godzinami w sprawozdania reporterów po czasopismach i gazetach.

Uderzył go odrazu pewien rys charekterystyczny dla sprawy: pozorna irracjonalność czynu. Oto wśród jakich okoliczności dokonano morderstwa.

Dnia 22 września około godz. 11 minut 30 zjawili się w mieszkaniu prywatnem ministra, Kazimierza Pradery, dwaj jego serdeczni przyjaciele, p. p. Z. i dr. K., każąc się w pewnej ważnej sprawie natychmiast zaanonsować panu domu. Sługa, któremu wydano to polecenie, wrócił po chwili blady jak płótno i nie mogąc widocznie dobyć głosu z przerażenia, gestami rąk wezwał przybyłych panów za sobą. Silnie zaniepokojeni usłuchali. Po przejściu dwóch pokoi skręcili w boczny korytarz, uchodzący w oszkloną z trzech stron narożnię. Tu służący zatrzymał się i przepuściwszy naprzód gości, sam cofnął się, jakby nie mając odwagi iść dalej. Panowie Z. i dr. K., przeczuwając jakieś nieszczęście, szybko przebyli galerię i po chwili znaleźli się w białej, marmurowej loggji pałacu, wychodzącej na park.

Tu na posadzce zbroczonej plamami krwi zastali ministra w pozycji pół klęczącej, opartego łokciem jednej ręki o tafle podłogi, a palcami drugiej wplecionego kurczowo w żelazne przęsła ochronnej balustrady. W oczach Pradery, zawleczonych już blachmanem śmierci, zastygły strach i zdumienie — z piersi przebitej nożem w okolicy serca sączyła się ciemna, purpurowa struga...

Przyjaciele jak piorunem rażeni stali przez chwilę bez ruchu u wejścia. Pierwszy ocknął się dr. K. i rzucił się ku nieszczęśliwemu. Lecz wkrótce przekonał się, że ratunek był niemożliwy: zabójcze ostrze przecięło tętnicę...

Zwłoki przeniesiono natychmiast w głąb domu, zawiadamiając równocześnie o fakcie organy bezpieczeństwa publicznego. W pół godziny potem stolica a w dwie kraj cały dowiedział się o ponurej nowinie...

Wdrożone natychmiast śledztwo nie dało żadnych pozytywnych wyników; owszem w miarę ponawiania wysiłków władz policyjnych sprawa wikłała się coraz bardziej. Nie zdołano nawet ustalić charakteru zbrodni. Wprawdzie większość dzienników zaliczyła ją do kategorii zamachów na tle politycznym, lecz enuncjacje te brzmiały niepewnie i bez przekonania.

Zeznania świadków, w tym Amelji Pradera, żony ś. p. ministra i służby nie przyczyniły się prawie w niczem do wyświetlenia prawdy. Przeciwnie — wniosły raczej ferment zagadkowości i tajemnicy. Zwłaszcza jeden szczegół, podany przez kamerdynera, Józefa Święckiego zabarwił ciemną aferę w sposób groteskowy.

Sługa ten, który rozmawiał ze ś. p. Praderą jeszcze o godz. 11 minut 15, pomagając mu przy przebieraniu się, zeznał, co następuje:

Dnia 22 września wrócił ś. p. minister do domu koło godz. 11 rano z ważnej konferencji dyplomatycznej. Był czemś silnie zdenerwowany i skarżył się na ból głowy. Po spożyciu krótkiego śniadania w towarzystwie żony, nagle opuścił jadalnię, tłumacząc się tem, że ma jeszcze tego rana przed południem



załatwić pewną, nie cierpiącą zwłoki sprawę i natychmiast przeszedł do sypialni, gdzie kazał się przebrać. Świadek pamiętał doskonale, że pan jego miał na sobie dnia tego ulubioną białą, pikową kamizelkę, podobno podarek imieninowy od żony. W czasie przebierania zauważył, że bielizna ministra i wspomniana kamizelka były silnie przepocone — szczegół fizjologiczny, którego dotychczas nigdy u niego nie zaobserwował.

— Jaśnie pan zapewne szedł dziś za szybko po schodach — ośmielił się na oględną supozycję.

— Być może — odpowiedział mu Pradera — w każdym razie wynieś to zaraz i przewietrz!

Święcki spełnił rozkaz natychmiast i wyszedłszy na loggję, przewiesił kamizelkę przez parapet balustrady, poczem, nie wracając już do sypialni pana, odszedł korytarzem w głąb domu. Widoczne zdenerwowanie i zły humor ministra podziałały nań tak przygnębiająco, że dopiero w 10 minut potem uświadomił sobie, iż postąpił niewłaściwie i że należało rozwiesić przepoconą część ubrania gdzieindziej. Wtedy to, by naprawić swój błąd, udał się ponownie na balkon, gdzie zastał pana w ostatnich podrzutach agonji. Tragizm chwili przesłonił sobą zrazu drugorzędne szczegóły, odwracając jego uwagę od celu, w jakim powrócił do loggji. Lecz gdy wkrótce potem asystował przy wizji lokalnej, którą przeprowadziły natychmiast organa śledcze, spostrzegł, że kamizelka zniknęła bez śladu. Poszukiwania na dole w parku, gdzie przypuszczalnie mogła spaść porwana przez podmuch wiatru, spełzły na niczem...

Na tem urywały się zeznania kamerdynera Święckiego. Stary sługa, który podobno piastował ś. p. ministra, gdy ten był

jeszcze małym chłopaczkiem, przywiązywał do swojej relacji wielką wagę, budząc tem uśmiech ironji na ustach przesłuchującego go urzędnika; poczciwy, lecz zdzięcinniejący już trochę starzec zdawał się być zmartwiony zniknięciem białej kamizelki równie silnie jak tragicznym zgonem ukochanego pana.

— Tak to — dodawał na zakończenie reporter „Sztandaru”, komentujący zeznania sługi — nieraz w życiu tragizm splata się ze śmiesznością i stwarza dziwacznie zezującą karykaturę groteski.

A jednak wśród powodzi sprawozdań i artykułów dziennikarskich, związanych ze „sprawą Pradery”, relacja, zeznań starego kamerdynera skupiła na sobie uwagę Pomiana. Był on może jedynym człowiekiem, dla którego ich treść nie zawierała nic śmiesznego; owszem „motyw białej, pikowej kamizelki” miał dla niego wyjątkowe znaczenie. Szczególnym bowiem zbiegiem okoliczności powtórzył mu się w tych czasach dwa razy niby refren natrętnej piosenki: po raz pierwszy w wigilję tragicznego dnia w domu Rudzkich, po raz drugi na pół godziny przed niedoszłym spotkaniem. Jak uparta wizja, wywołana skojarzeniem ponurych obrazów, wyłaniały mu się teraz na ekranie wspomnień biały, niepokalany gors koszuli premjera ujęty w ramy białego, pikowego giletu, który przywdział na swój ostatni five o'clock u Rudzkich i równie biała, śnieżno-biała kamizelka nieznanego, który z nienacka pozdrowił go na ulicy. Czego ten człowiek mógł chcieć od niego w owej chwili, gdy szedł bić się z Praderą? Dlaczego uśmiechnął się doń tak życzliwie?... Ten człowiek, ten śmieszny człowiek...

Po miesiącu wczytywania się w szczegóły dochodzeń uczył

Pomian, że „afery Pradery” działa nań jak haszysz; im dalej zapuszczał się w jej labirynty, tem silniej pociągała go ku sobie jej tajemniczość, tem potężniej pieńło mu się w duszy zielsko trującego zaciekawienia. Ze złowieszczą pasją zagłębiał się w podziemne korytarze złej sprawy, z jakimś wyjątkowym natręctwem angażował się w ciemne jej zaułki, nie bacząc na możliwe następstwa. Nieznacznie a pewnie zawiązały się silne i wiśne korzenie zabójczej manji: zaczął wczuwać się w obecny stan psychiczny mordercy...

Przypuszczalną dominantą jego musiało być uczucie strachu przed odkryciem. Stąd wieczna czujność i ciągłe pilnowanie siebie na każdym kroku; jeden gest nieostrożny, jedno słowo zbędne mogło zdradzić. Dlatego zasadniczym wskaźnikiem postępowania powinna była być dlań odtąd oględność w mowie, skąpstwo słów posunięte do możliwych granic. „Ściany mają uszy” — oto dewiza naczelna w nowym rozdziale życia, który zaświtał ponurym, ołowianym brzaskiem na horyzoncie... Te cienie wieczorne tam na murze mogły być niebezpieczne — kontury ich ludzkie... czyżby sylwety szpiegów?... Ten człowiek obcy, przeglądający obojętnie afisze na przeciwległym rogu ulicy w porze obiadowej, wygląda podejrzanie... Lepiej zejść mu z oczu!... Zejść za wszelką cenę!... Co za męka!...

Pomian fizycznie odczuwał piekielną katuszę i drżał z obawy o złoczyńcę. Niepostrzeżenie resztki dystansu między nim a tamtym zmalowały do zera i pewnego popołudnia ze zdumieniem spostrzegł straszliwą tożsamość. Był wtedy w jakiejś kawiarni i czytał artykuł „Gazety Codziennej”, omawiający rezultaty dochodzeń w sprawie Pradery. Sprytny referent ujmował rzecz z nowego punktu widzenia i wskazywał nowe drogi władzom

śledczym. Pomianowi wydały się te wskazówki groźnemi; nabrał przekonania, że idąc za niemi, policja wpadnie na trop właściwy...

Nagle oderwawszy oczy od dziennika, zauważył na sobie bystre spojrzenie jakiegoś jegomościa przy stoliku sąsiednim. Zmieszał się, zadrżał i uczuł, że blednie.

— Co mi jest, do licha? — pomyślał, zasłaniając się gniewnie gazetą przed natrętnym wzrokiem.

— On coś wie o tobie — szepnął czyjś głos zimny i ostry jak stal. — Coś podejrzewa...

— A cóż mnie to wszystko do licha obchodzić może?! — odpowiedział niemal półgłosem i wezwał płatniczego, by wyrównać rachunek. Po chwili szedł już nerwowym krokiem wzdłuż esplanady...

W parę dni potem zrodziła się nagle chęć odwiedzenia pałacyku przy ul. Jasnej — zrazu nieśmiała, taka niby przypadkowa, nic nie znacząca — później, w miarę jak przeciwstawiał jej się rozum, coraz silniejsza, coraz bardziej tyrańska. Opierał jej się przez tydzień — potem uległ.

I poszedł tam w któreś popołudnie.

Dom był pusty. W dwa tygodnie po śmierci Pradery piękna, jednopiętrowa willa wyludniła się niemal zupełnie. Prócz dozorczy i starego Święckiego nikt tam nie chciał mieszkać. Nawet zrównoważony i pełen flegmy narodowej ambasador amerykański, który zajmował za życia ministra prawe skrzydło pałacyku, przeprowadził się gdzieś do innej dzielnicy miasta. Dom osnuły wkrótce legendy tłumy, chaotyczna, irracjonalna przędza opowieści i gawęd. Podobno straszyciło we willi...

Może temu zawdzięczał Pomian łatwość, z jaką udało mu się wtargnąć do wnętrza. Uchylił cicho portal wchodowy strzeżony przez dwa kamienne lwy drzemiące w niszach i wśliznął się ukradkiem w głąb domu. Pierwsze drzwi u wylotu klatki schodowej na piętrze, zastał otwarte.

Bez wahania wszedł. Nieugaszona ciekawość kierowała krokami na prawo w amfiladę pokoi uchodzących gdzieś daleko w głębi w korytarz do loggi. Wtem zadrżał: ktoś był w sąsiedniej sali; skrzyp tafli parkietu zdradził czyjaś obecność.

Przystanął z bijącym sercem i na palcach, skradając się, podszedł bez szelestu ku półotwartym drzwiom biblioteki. — W środku pokoju stał kamerdyner Święcki wpatrzony w naturalnej wielkości portret Pradery wiszący nad biurkiem. Stare, mgłą wieku zawleczone oczy sługi spoczywały na wizerunku pana z wyrazem psiej wierności i przywiązania. Nagle z zapadłej piersi starca wydarło się głębokie jak przepaść westchnienie. Ruchem ręki powolnym zdjął okulary i ciężko rzuciwszy się w krzesło, pochylił nisko głowę i cicho zaszlochał...

Pomian wyzyskał moment. Krokiem tajonym skradającego się kota minął przygarbioną ku posadzce postać i wtargnął do kuluaru, opasującego łukiem skrzydło pałacu. Za chwilę był już w loggi. Oczy jego ciekawe szukały naiwnie śladów zbrodni, popełnionej tu przed dwoma miesiącami, dopatrywały się zrudziałych plam krwi na flizach podłogi! Napróżno. Czarne, lśniące jak lustro tafle marmuru odbijały mu wiernie jego własną postać. Wtedy przechylił się przez balustradę parapetu i spojrzął w ogród. — Odpowiedział mu stamtąd krwawy uśmiech róż i melancholijna zaduma tulipanów. Z boku, tam od lewej narożni czerniło się nagie, sztywne drzewce flagi —

wspomnienie ambasady.

Tu w przedwieczornej godzinie po trudach dnia nieraz musiał wsłuchiwać się w głosy ciszy wielki mąż stanu... Może tu, chłodząc uznojone czoło w powiewach zmierzchowego wiatru, snuł dumne plany na przyszłość. Przechylony przez brzuściec łoży, może marzył swe sny o potędze?... Lub w księżycowe, białe noce śledził bieg gwiazdy swego losu?...

Pomian uśmiechnął się napół gorzko, napół zjadliwie.

— Sunt lacrimae rerum — szepnął w zamyśleniu. — Wielkość i nicość — czcze dymy... Sic transit gloria mundi...

Opuścił balkon i natrafiwszy na jakieś boczne wyjście z korytarza, zaczął zstępować wdół ślimaczną schodów. Wtem na zakręcie spostrzegł o parę stopni pod sobą wstępującą w górę postać. Jakiś człowiek o wyglądzie chuderlawym, napół garbaty, w długim, zgniło-zielonej barwy płaszczu laboratoryjnym piął się kulawym krokiem po schodach. Pomianowi była skądś znajomą ta twarz śniada, głęboko poorana i ten chód wlokący się, niezdarny... Ta twarz, ta wstrętna twarz, ta przebrzydła karykatura... Ale czyja!?!...

Gniew nagły, irracjonalny zalał mu krwią białka oczu.

— Ty łotrze stary, czego tu się włóczysz? — krzyknął, nie mogąc opanować wściekłości. — Oddam cię w ręce policji, łajdaku!

Człowiek w zielonym płaszczu podniósł na wygrażającego mu towarzysza oczy spokojne, zimne a szyderskie i bez słowa, otarłszy się oń po drodze, minął go i zaczął wchodzić na wyższą kondygnację schodów; zmierzał widocznie tam, skąd wracał Pomian: ku loggji. To jedno spojrzenie wystarczyło. W paroksyzmie strachu, szczękając zębami jak w febrze, poznał

go Pomian. Poznał i w tymże momencie stracił z oczu: bo zanim dziwny człowiek dosięgnął platformy balkonowej, postać jego rozpadła się na mgliste strzępy i znikła bez śladu...

Pomian odetchnął głęboko i otarłszy pot z czoła, zaczął skradać się ku bramie, by wydrzeć się nareszcie z objęć przeklętego domu. Lecz gdy już kładł drżącą rękę na klamce, usłyszał za sobą suchy kaszel Święckiego.

— Pan tu do kogo? — zabrzmiało nieufne pytanie.

— Zdaje mi się, mój stary — odpowiedział Pomian głosem obcym, drewnianym — że szukałem tutaj cieniów twego pana, a tymczasem podobno spotkałem się z...

Nie dokończył i machnąwszy ręką, szybko wybiegł na ulicę...

## Koniec Wersji Demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa  
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

